

Fikus, Feliks

Ze wspomnień

Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego 12/1, 109-129

1973

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

FELIKS FIKUS

ZE WSPOMNIENI

Dziennikarstwem zacząłem się parać w czasie studiów na Uniwersytecie Poznańskim (1924—1929); „pasowano” mnie wtedy na „rycerza” korporacji „Posnania” i włożono na głowę fioletową czapkę ze złotym otokiem. Pod wrażeniem lektury dzieł Romana Dmowskiego, a szczególnie jego *Myśli nowoczesnego Polaka*, wstąpiłem z kolei do Młodzieży Wszehpolskiej, młodzieżowej organizacji Stronnictwa Narodowego. Z jej ramienia zostałem wybrany do zarządu Bratniej Pomocy Studentów Uniwersytetu Poznańskiego, którego sekretarzem generalnym byłem w latach 1926—1929. W dniach majowych 1926 r. byłem jednym z organizatorów Legii Akademickiej, która wybierała się do Warszawy, aby wziąć udział w walce przeciwko Piłsudskiemu, ale zdążyła dojechać tylko do Kutna. Odpowiedzią Dmowskiego na zamach majowy było powołanie do życia Obozu Wielkiej Polski. Mianowano mnie sekretarzem generalnym organizacji Młodych OWP na dzielnicę zachodnią. Pisywałem sporo na łamach miesięcznika „Awangarda” i wygłaszałem mnóstwo przemówień, tropiony z tego powodu nieraz przez władze sanacyjne. W związku z przemówieniem pułkownika Sławka wygłoszonym w Poznaniu i z moim wystąpieniem po tym przemówieniu na protestacyjnym wiecu młodzieży akademickiej zostałem relegowany z Uniwersytetu. Miałem wtedy za sobą ukończone studia filologiczne i byłem studentem wydziału prawa. Miałem też jako filolog przydział na stanowisko nauczyciela gimnazjum im. K. Marcinkowskiego. Chciałem studiować równocześnie prawo, aby w przyszłości zostać adwokatem, równocześnie jednakże z zawiadomieniem rektoratu o relegowaniu mnie z Uniwersytetu Poznańskiego otrzymałem decyzję z Kuratorium Okręgu Szkolnego Poznańskiego, odbierającą mi przyznane uprzednio prawo nauczania w szkolnictwie.

Ponieważ skończyły się przywileje studenckie dotyczące prawa do odraczania służby wojskowej, przyszło w ślad za relegacją z uniwersytetu wezwanie „w rekruty” do Szkoły Podchorążych Rezerwy w Zambrowie. Szkołę tę zdążyłem ukończyć w stopniu plutonowego podchorąż-

żego, ale uroczystego obiadu w obecności wiceministra spraw wojskowych i biskupa polowego na zakończenie szkoły ani ja, ani około 1000 moich kolegów-podchorążych nie jedliśmy, protestując w ten sposób przeciwko przymusowemu potrąceniu ostatniego żołdu na koszty pomnika ku czci żyjącego jeszcze wtedy marszałka Piłsudskiego. Mnie wprost z tego obiadu odprowadzono do aresztu jako podejrzanego o zorganizowanie „strajku obiadowego”. Śledztwo z braku dowodów umorzono, ale do swego pułku w Poznaniu wyjechałem z Zambrowa z opóźnieniem.

Zanim ukończyłem podchorążówkę, otrzymałem list od dr Mariana Seydy, naczelnego redaktora „Kurieria Poznańskiego”, który zaoferował mi etat w redakcji dziennika. Propozycję przyjąłem i w ten sposób z dniem 1 września 1930 r. wszedłem w skład zespołu redakcyjnego „Kurieria Poznańskiego”, organu Stronnictwa Narodowego. Łamy tego dziennika nie były mi obce. Jako student i działacz akademicki drukowałem tu sporo od 1926 r. Z mojej inicjatywy „Kurier Poznański” poświęcał od 1927 r. raz na tydzień całą kolumnę sprawom młodzieży akademickiej. Byłem gospodarzem-redaktorem tej kolumny i przeprowadzałem na jej szpaltach najrozmaitsze kampanie, głównie dotyczące organizowania pomocy dla młodzieży studiującej.

Jako sekretarz generalny Bratniej Pomocy Studentów UP byłem z urzędu członkiem Poznańskiego Komitetu Wojewódzkiego do Spraw Pomocy Młodzieży Akademickiej, któremu przewodniczył wojewoda Bniński. Komitetowi temu zabrakło w pewnej chwili pieniędzy na dokończenie budowy tzw. Nowego Domu Akademickiego przy Wałach Leszczyńskiego 6. Z mojej inicjatywy przeprowadzono wtedy szeroką kampanię na łamach kolumny akademickiej „Kurieria Poznańskiego”, odwołując się do ofiarności społeczeństwa wielkopolskiego. Zaproponowałem instytucjom i osobom prywatnym fundowanie tzw. cegiełek po 1000 złotych, w zamian obiecując ofiarodawcom umieszczenie na wieczną rzecz pamiętkę odpowiedniej tabliczki na drzwiach pokoju w budującym się domu akademickim. Społeczeństwo wielkopolskie nie zawiodło: do kasy wspomnianego Komitetu wpłynęło około 175 000 złotych. Na drzwiach pokoju nr 6, w którym potem zamieszkałem, widniała tabliczka: „Pokój ufundowany przez firmę St. Stempniewicz, fabryka mydeł i perfum”. A kiedy na walnym zebraniu studentów UP, zwołanym po mojej relegacji, żegnano mnie jako studenta i działacza bratniackiego, około 1900 obecnych głosowało z wybraniem mnie na członka honorowego Bratniej Pomocy Studentów Uniwersytetu Poznańskiego. Przywódca lewicy Feliks Widy-Wirski wraz z około 30 swymi kolegami głosował przeciw temu wnioskowi.

Po trzech latach stałem już pracy w redakcji „Kurieria Poznańskiego”, w końcu r. 1933 wszedłem w skład ścisłego kierowniczego zespołu redak-

cyjnego tego pisma. Zająłem miejsce po Ryszardzie Piestrzyńskim, który znalazł się w grupie rozłamowego Związku Młodych Narodowców i w końcu w sanacji. Marian Seyda nie tylko kierował redakcją „Kuriera Poznańskiego”, ale jako jeden z dwóch członków zarządu Drukarni Polskiej S.A. nadzorował także prace redakcyjne i wydawnicze oraz wszystkie pozostałe redakcje pism wydawanych przez Drukarnię Polską S.A. Seyda był człowiekiem wielkiej pracowitości. Był minister spraw zagranicznych, później przez długie lata senator Rzplitej, autor książki *Polska na przełomie dziejów* będącej gruntownym podsumowaniem działalności Komitetu Narodowego Polskiego czasu pierwszej wojny światowej i okresu Traktatu Wersalskiego oraz działalności samego autora jako sekretarza tego Komitetu, od r. 1906 do września 1939 r. z przerwą tylko 3-letnią (1915—1918) naczelnym redaktorem, „Kuriera Poznańskiego”, czołowego organu Stronnictwa Narodowego na ziemiach zachodnich — wszystko to absorbowało Seydę prawie bez reszty. Ponadto Seyda był nie tylko redaktorem i publicystą, ale także działaczem i przywódcą politycznym, choć formalnie nie pełnił żadnych funkcji w organizacji Stronnictwa Narodowego. Nie było ważniejszej sprawy politycznoorganizacyjnej w województwie poznańskim czy pomorskim, co do której by nie zasięmano jego rady.

Praca w redakcji „Kuriera Poznańskiego” była tak zorganizowana, że kierownicy poszczególnych działów dysponowali nieograniczoną samodzielnością i mieli pełne zaufanie redaktora naczelnego. Seyda sam pisywał bardzo dużo, zabierając głos w najważniejszych sprawach polityki wewnętrznej i zagranicznej kraju, nie oglądając się przy tym na partyjną górę. Kiedy senator — tak powszechnie tytułowano Seydę — pisał artykuł wstępny, wiedział nasz znakomity metrampaż Majewski i wiedział także wujek Czesiu (sekretarz redakcji Czesław Kędziński, pisujący pod tym pseudonimem bajki dla dzieci), że artykuł będzie pisany w ostatniej chwili, po konferencjach i naradach, że pierwsza kartka bardzo nieczytelnego rękopisu (nie maszynopisu!) przyjdzie do zecerni na około 90 minut przed ruszeniem maszyny rotacyjnej z wydaniem głównym „Kuriera Poznańskiego”. Mimo to maszyna ruszała zawsze co do minuty punktualnie, to znaczy o godz. 13³⁵. Pamiętam tylko jedno spóźnienie: Seyda, wstrząśnięty wiadomością o podpisaniu w styczniu 1934 r. traktatu polsko-niemieckiego, dostarczył ostatnią kartkę rękopisu artykułu wstępnego o 15 minut później niż zwykle. Aby nie narazić gazety na konfiskatę, a mimo to wypowiedzieć jasno i twardo swoje zdanie, ważył Seyda każde słowo i każdy przecinek. Był to jeden z najlepszych jego artykułów. Przewidział w nim wszystkie tragiczne konsekwencje polityki Becka. Wujek Czesiu i metrampaż Majewski cieszyli się zawsze, kiedy senator był w Warszawie na sesji senatu. Wtedy było wiadomo z góry,

że gazeta się nie spóźni, bo senator przyjdzie do redakcji z gotowym już artykułem, napisanym w pociągu w drodze powrotnej z Warszawy do Poznania.

Drugim członkiem kierowniczego trzyosobowego zespołu „Kuriera Poznańskiego”, a zarazem zastępcą naczelnego redaktora, był Stefan Wyrzykowski, syn powieściopisarza, człowiek ogromnej wiedzy i fenomenalnej pamięci, były sekretarz osobisty Romana Dmowskiego z okresu jego pobytu w Chludowie pod Poznaniem, przyjaciel mi najbliższy. Sam pisał niewiele, podpisywał się pod swymi artykułami bardzo rzadko, zawsze pozostający w cieniu i stąd za szarą eminencję uchodzący. Umiał jednak Wyrzykowski jak rzadko kto inspirować twórczo, i to w każdej dziedzinie działalności publicystycznej i organizacyjno-politycznej, a przeglądając materiały kolegów redakcyjnych wychwytywał w lot najmniejsze potknięcie merytoryczne i wskazywał właściwą metodę ominięcia oka cenzora. Seyda liczył się bardzo ze zdaniem Wyrzykowskiego i zasięgał jego rady w każdej ważniejszej sprawie.

Mnie obarczył Seyda głównie zadaniem odciążenia go w zakresie nadzoru nad pozostałymi wydawnictwami prasowymi Drukarni Polskiej S.A., a w szczególności nad „Orędownikiem” oraz „Wielkopolaninem”. W ten sposób, formalnie pozostając redaktorem „Kuriera Poznańskiego”, zacząłem pełnić praktycznie funkcje zastępcy drugiego członka zarządu dra Mariana Seydy. W latach 1934—1939 poświęciłem główną część swoich zainteresowań nie publicystyce, lecz zagadnieniom wydawniczym Drukarni Polskiej S.A.

Nakładem Drukarni Polskiej w Poznaniu ukazywały się przed drugą wojną światową następujące pisma (w nawiasie podaję datę wydania pierwszego numeru):

„Kurier Poznański” — wydanie główne (zwane początkowo wydaniem wieczornym) 6 razy w tygodniu (19 IX 1906 r.). Wydanie główne wychodziło w dwóch mutacjach: mutacja „P” dla woj. poznańskiego i dla kraju, wydanie „M” dla miasta Poznania.

„Kurier Poznański” — wydanie poranne, 6 razy w tygodniu (1 X 1925 r.).

„Orędownik” — 6 razy w tygodniu, mutacje: „MP” dla m. Poznania, „P” dla woj. poznańskiego (1871 r.).

„Orędownik” — 7 razy w tygodniu, mutacje: „BTKŁ” dla Bydgoszczy i okręgu bydgoskiego, „TKŁ” dla Pomorza, „KŁ” dla Śląska, Zagłębia Dąbrowskiego i Małopolski Zachodniej, „Ł” dla Łodzi i Polski centralnej (sukcesywnie od marca 1933 r. do końca 1934 r.).

„Wielkopolanin” — 3 razy w tygodniu, mutacje: „PK” dla woj. poznańskiego, „K” dla kraju (bez Pomorza), (1846 r.).

„Pomorzanie” — 3 razy w tygodniu (1 II 1935 r.).

„Ilustracja Polska” — 1 raz w tygodniu (2 X 1927 r.).

„Nowiny Poświęteczne” — 1 raz w tygodniu (20 VIII 1934 r.).

„Orędownik” ukazywał się — jak wynika z powyższego — w dwóch oddzielnych wydaniach, z których jedno, drukowane w południe i ukazujące się 6 razy w tygodniu, miało dwie mutacje, drugie zaś, drukowane w nocy i ukazujące się 7 razy w tygodniu, miało 4 mutacje. Obydwa te wydania trzeba traktować jako odrębne dzienniki o wspólnym tytule, ale całkowicie różnej treści.

W *Albumie Drukarni Polskiej S.A.*, wydanym w 1936 r. z okazji 30-lecia „Kuriera Poznańskiego” oraz dorocznych Międzynarodowych Targów Poznańskich, napisałem:

„Wielkopolska z Poznaniem na czele zawsze dawała Polsce przykłady dobrej roboty. Jej zdrowa struktura społeczna, jej systematyczna, niezłomna i wytrwała praca gospodarcza, jej nieustępliwość w urzeczywistnianiu haseł narodowych — oto wartości, które Wielkopolska wnosi w życie kraju. Drukarnia Polska S. A. jest tych wartości jednym z licznych przykładów. Stanowi ona dowód, iż w Polsce można budować wielkie placówki gospodarcze, kulturalne i społeczne własną zapobiegliwością, bez uciekania się do pomocy czyjejkolwiek z wewnątrz czy z zewnątrz kraju. Wyrosła z polskich potrzeb, dźwigania wysiłkiem polskich mózgów i rąk, oparta na kapitale czysto polskim, stanowi ośrodek pracy i myśli wciąż żywej”.

Kiedy dzisiaj po 35 latach czytam te słowa, zdaję sobie sprawę z tego, że były one w jakiejś mierze targową reklamą, ale jest w nich niewątpliwie także sporo obiektywnej prawdy. Jej świadectwo można znaleźć w historii Drukarni Polskiej S. A., którą tu w skrócie przedstawię.

W dniu 2 sierpnia 1906 r. grono obywateli z byłego zaboru pruskiego zakłada spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością pod nazwą Nowa Drukarnia Polska. Akt został spisany u rejenta Wojciecha Trąmpczyńskiego (późniejszego marszałka sejmu w Polsce niepodległej). Kapitał zakładowy spółki wynosił 80 000 marek. Udziałowców było 28, a udziały wynosiły: najniższy 500, najwyższy 20 000 marek. Tym samym aktem notarialnym spółka nabyła za cenę 65 000 marek od dra Romana Szymańskiego wydawnictwo dziennika „Orędownik” wraz z małą drukarnią w Poznaniu przy ul. Podgórznej 7. Do zarządu spółki weszli: dotychczasowy wydawca i redaktor naczelny „Orędownika” dr R. Szymański, dr Marian Seyda oraz Roman Leitgeber. Po śmierci dra Szymańskiego (1908 r.) zarząd spółki tworzyli dr Seyda i R. Leitgeber. Kiedy Seyda w 1915 r. na wezwanie Romana Dmowskiego udał się do Szwajcarii, aby wziąć udział w pracy Komitetu Narodowego Polskiego, członkiem zarządu pozostawał przez kilka lat sam R. Leitgeber. W 1917 r. dokooptowano do zarządu dra Bolesława Marchlewskiego, który też zastąpił Seydę na stanowisku redakto-

ra naczelnego „Kuriera Poznańskiego” (Marchlewski zginął tragicznie, zastrzelony przy biurku redakcyjnym przez pracownika drukarni Trzebiatowskiego).

We wrześniu 1906 r. ukazuje się nakładem Nowej Drukarni Polskiej 7000 egzemplarzy pierwszego (okazowego) numeru „Kuriera Poznańskiego” z artykułem wstępnym pt. *Nasz program*, w którym czytamy m. in. „Niespożyta energia życiowa społeczeństwa polskiego wniwecz obraca wszelkie zakusy germanizacyjne. Jej zawdzięczamy swój byt dzisiejszy, od niej zależy nasza przyszłość”.

W 1912 r. przeniesiono wydawnictwo z ul. Podgórznej do obszerniejszych pomieszczeń nowo wybudowanej kamienicy przy ul. Św. Marcina 63, gdzie zainstalowano małą 8-stronicową maszynę rotacyjną oraz dwa linotypy.

Po pierwszej wojnie światowej dzienniki „Orędownik” i „Kurier Poznański” zwiększają swoje nakłady tak dalece, że okazuje się konieczne powiększenie dotychczasowych skromnych urządzeń technicznych oraz pomieszczeń drukarni i redakcji. W czerwcu 1919 r. zostaje założona Drukarnia Polska S. A., której głównymi akcjonariuszami byli Bank Związku Spółek Zarobkowych oraz Edward Pawłowski, drukarz przybyły z Tylży, gdzie miał drukarnię akcydensową i sklep papierniczy. Spółka ta nabyła od niemieckiej firmy W. Decker, Hofbuchdruckerei dużą drukarnię oraz nieruchomości przy narożniku al. Marcinkowskiego 17 i Św. Marcina 70. Firma niemiecka istniała tutaj od 1794 r., powstała zatem w rok po zabiorze Poznania przez Prusy. Od tego czasu ukazywała się jej nakładem gazeta niemiecka, a od roku 1795 gazeta niemiecka w języku polskim pt. „Gazeta Południowo-Pruska”, zmieniona po wejściu Francuzów do Poznania w 1806 r. na „Gazetę Poznańską”, a po Kongresie Wiedeńskim na „Gazetę Wielkiego Księstwa Poznańskiego”, zlikwidowaną w 1865 r. Przez szereg lat (do 1919 r.) ukazywała się tutaj „Posener Zeitung”.

W lipcu 1920 r. następuje połączenie Nowej Drukarni Polskiej z Drukarnią Polską S. A. pod nazwą tej ostatniej. Kapitał akcyjny (dwa miliony marek polskich) przypadł w 50% udziałowcom Drukarni Polskiej S.A. W skład zarządu weszli m. in. Roman Leitgeber oraz Edward Pawłowski.

Nowo powstała Drukarnia Polska nie ogranicza swej działalności do Poznania i woj. poznańskiego. W 1920 r. następuje założenie Drukarni Toruńskiej w Toruniu, gdzie zaczęto wydawać dziennik „Słowo Pomorskie”, a w 1922 r. założenie Drukarni Narodowej w Bydgoszczy, gdzie zaczął się ukazywać dziennik „Gazeta Bydgoska”. W 1926 r. bydgoska Drukarnia Narodowa ulega likwidacji jako samodzielna spółka akcyjna i działa odtąd jako oddział Drukarni Polskiej S. A.

Niezależnie od tej zewnętrznej działalności Drukarnia Polska stale

i systematycznie rozwija i ulepsza urządzenia techniczne w swoich zakładach macierzystych w Poznaniu. Liczba posiadanych w roku 1920 sześciu linotypów wzrasta szybko do dwunastu. Miejsce przejętej po Niemcach 16-stronicowej maszyny rotacyjnej zajmuje nowa 32-stronicowa maszyna rotacyjna, obok której staje w 1928 r. druga, taka sama. Do tego dochodzi niebawem nowoczesne 40-stronicowa rotacyjna maszyna ilustracyjna.

Rozszerzaniu i unowocześnianiu bazy technicznej towarzyszy wzrost nakładów i objętości istniejących dzienników, „Kuriera Poznańskiego” i „Orędownika”, oraz tworzenie coraz to nowych pism. W 1925 r. zaczyna ukazywać się wydanie poranne „Kuriera Poznańskiego” pod redakcją Bohdana Jarochońskiego, długoletniego prezesa Syndykatu Dziennikarzy Wielkopolskich i przewodniczącego klubu radnych Stronnictwa Narodowego w poznańskiej Radzie Miejskiej. Jak wiadomo, w dwóch wydaniach dziennik ukazywał się oprócz „Kuriera Poznańskiego” tylko „Kurier Warszawski”. Obydwa te dzienniki były jeszcze i w tym do siebie podobne, że miały wśród codziennych pism polskich najwięcej ogłoszeń w ogóle, a ogłoszeń drobnych i nekrologów w szczególności.

„Kurier Poznański” i „Orędownik” były organami Stronnictwa Narodowego, pozostałe pisma reprezentowały mniej lub bardziej dyskretnie program tego stronnictwa. Nakład „Kuriera Poznańskiego” dochodził do około 28 000 egz.

„Orędownik”, ukazujący się przez długie lata pod redakcją Tadeusza Powidzkiego i reprezentujący interesy wielkopolskiego drobnomieszczanstwa, szczególnie rzemiosła, nie wykroczył do roku 1933 poza nakład około 24 000 egz. W latach 1934—1939 nakład ten wzrósł do około 125 000 egz., głównie w Łodzi oraz w woj. łódzkim.

Założony w 1927 r. tygodnik „Ilustracja Wielkopolska” zmienił w 1930 r. tytuł na „Ilustracja Polska”. Redaktorem naczelnym był od początku do września 1939 r. Antoni Kawczyński, autor kilku powieści. „Ilustracja Polska” ukazywała się w nakładzie około 30 000 egz.

Obok „Orędownika” największy wzrost nakładu osiągnął „Wielkopolanin” i jego mutacja „Pomorzanin”, ale o tym będzie mowa później.

Założony w 1934 r. tygodnik „Nowiny Poświęteczne” (nakład około 10 000 egz.) spełniał rolę poniedziałkowego pisma ogólnoinformacyjnego i poświęcał najwięcej miejsca wiadomościom sportowym. Redaktorem był dr Stanisław Bernatt.

Zarząd Drukarni Polskiej S. A. przetrwał w składzie: Roman Leitgeber i Edward Pawłowski do r. 1932, i to wśród wielu trudności spowodowanych głównie tym, że Pawłowski utrudniał rozwój wydawnictw prasowych, a forsował nastawienie się Drukarni Polskiej na druki akcydensowe, na tej dziedzinie koncentrując m. in. inwestycje w zakresie za-

kupu maszyn, a wśród nich kosztownych urządzeń do druku biletów dla komunikacji miejskiej. Romana Leitgebera i dra Mariana Seydę różniło z Pawłowskim także jego absolutne nieangażowanie się w sprawy polityczne. Dochodziły do tego jeszcze momenty osobiste, w czym także skłonność Pawłowskiego do pewnej rozrzutności w zakresie reprezentacji. Pod tym względem i Seyda, i Leitgeber byli ludźmi skromnymi, nic więc dziwnego, że miara się przebrała, kiedy Pawłowski mimo złego stanu finansowego wydawnictwa zdecydował samowolnie zakup drugiego już z rzędu luksusowego samochodu osobowego marki Lancia. Po dramatycznym walnym zebraniu akcjonariuszy spółki akcyjnej, na które Seydzie i Leitgeberowi udało się zmobilizować dla siebie większość, Pawłowski ustąpił z zarządu Drukarni Polskiej S. A. w grudniu 1932 r. W zamian za swe akcje otrzymał oddział bydgoski Drukarni Polskiej, kilka maszyn akcydensowych oraz 20 000 złotych gotówki. W skład nowego zarządu weszli Roman Leitgeber i dr Marian Seyda, zaś do Rady Nadzorczej: dr Celestyn Rydlewski, dr Romuald Paczkowski, dr Stanisław Celichowski, dr Czesław Meissner oraz Franciszek Ksawery Ziółkowski. Zarząd oraz Rada Nadzorcza przetrwały w tym składzie do chwili wybuchu drugiej wojny światowej.

W chwili odejścia Pawłowskiego stan finansowy wydawnictwa był bardzo ciężki. Wystarczy powiedzieć, że zadłużenie na dzień 1 stycznia 1933 r. wynosiło 976 000 złotych, w czym zadłużenie w myszkowskiej fabryce papieru — 301 000 złotych.

Po odejściu Pawłowskiego nastąpił w latach 1933—1939 ogromny przełom w sytuacji finansowej Drukarni Polskiej S. A. Obrazują to m. in. obroty, które wynosiły:

w roku 1934 — 2 407 000 złotych
 w roku 1937 — 2 956 205 złotych
 w roku 1938 — 3 803 578 złotych

Czysty zysk za rok 1938 wynosił 247 637 złotych. Walne zgromadzenie uchwaliło dywidendę w wysokości 15%, a wszyscy pracownicy otrzymali nadzwyczajne gratyfikacje.

Dla charakterystyki rozwoju Drukarni Polskiej w latach 1933—1939 warto przytoczyć liczby dotyczące stanu zatrudnienia. Otóż Drukarnia Polska S. A. zatrudniała stałych pracowników etatowych (fizycznych, technicznych i pracowników redakcyjnych):

na 31 grudnia 1933 — 340
 na 31 grudnia 1935 — 376
 na 31 grudnia 1937 — 399
 na 31 grudnia 1938 — 449
 na 1 lipca 1939 — 456

Wynagrodzenie pracowników etatowych wynosiło w 1938 r.:

pracowników redakcyjnych	— 673 766 złotych
pracowników technicznych	— 435 298 złotych
pracowników administracyjnych	— 242 848 złotych
pracowników fizycznych	— 133 618 złotych
razem	<u>1 485 530 złotych</u>

Miarą rozwoju Drukarni Polskiej w ciągu ostatnich sześciu lat przedwojennych było także wzrastające z roku na rok zużycie papieru. Pod tym względem Drukarnia Polska zajmowała od roku 1937 trzecie miejsce wśród polskich wydawnictw prasowych, po wydawnictwach krakowskiego IKC i warszawskiej tzw. prasie czerwonej, a przed „Kurierem Warszawskim”.

Wiosną 1939 r. Drukarnia Polska nabyła nieruchomość przy al. Marcinkowskiego 18. Poszczególne kondygnacje tej nieruchomości przebudowano i połączono w jeden ciąg z odpowiednimi pomieszczeniami w gmachu przy al. Marcinkowskiego 17 oraz przy ul. Św. Marcina 70. Część oficyn podwórzowych kupionej nieruchomości rozebrano, aby na ich miejscu wybudować nowe pomieszczenia dla zakładów drukarskich i chemigraficznych i połączyć je w jeden ciąg z dotychczas istniejącymi. Na płycie betonowej, którą zdążono jeszcze wykonać przed wybuchem wojny, miała stanąć nowa wielobarwna 64-stronicowa maszyna rotacyjna, którą zamierzano kupić w Anglii za cenę około 500 000 złotych. W realizacji tych zamierzeń przeszkodził wybuch wojny.

Stan gotówki na dzień 24 sierpnia 1939 r., kiedy zostałem zmobilizowany jako oficer rezerwy 57 poznańskiego pułku piechoty, wynosił w kasie, w PKO oraz w bankach ponad 900 000 złotych, a zatem prawie tyle samo, ile wynosiło zadłużenie Drukarni Polskiej na dzień 1 I 1933 r.

Co złożyło się na to, że Drukarnia Polska w ciągu sześciu lat przedwojennych zdołała osiągnąć tak dobre wyniki gospodarcze? Przesuwając szczegółową odpowiedź na to pytanie do dalszej części swoich wspomnień, wymienię tutaj tylko podstawowe elementy wzrostu. Jednym z nich była niewątpliwie rygorystycznie przestrzegana zasada opierania nakładów pism na prenumeracie, a nie na sprzedaży komisowej, powodującej zwroty. I rzeczywiście, Drukarni Polskiej udało się ponad 90% nakładów oprzeć na prenumeracie. Cena jej była tak z kolei skalkulowana, aby objętość gazety, a więc koszt papieru plus wszelkie inne koszty, znalazły pokrycie z jakąś nawet nadwyżką w dochodach z samej prenumeraty. Raz ustalone normy objętości poszczególnych numerów pism mogły ulegać zmianom tylko i wyłącznie w zależności od ilości płatnych ogłoszeń i reklam. Przykładowo: wydanie główne „Kuriera Poznańskiego” na niedzielę mogło ukazywać się w objętości 32 stron (i przeważnie uka-

zywało się w tej objętości) tylko pod warunkiem, że co najmniej 10 stron zajmowały ogłoszenia płatne. Wyjątek stanowił „Wielkopolanin” (i „Pomorzanin”), który dzięki bardzo dużemu nakładowi mógł opierać swoją egzystencję prawie wyłącznie na prenumeracie, dającej w efekcie wydawnictwu duże zyski.

Głównym pismem ogłoszeniowym Drukarni Polskiej był „Kurier Poznański”, drukujący przeciętnie przy objętości gazety 14—16 stron około 4 strony ogłoszeń, w czym około 65% ogłoszeń „drobnych”, zaś w numerach niedzielnych (ukazujących się jednak z datą sobotnią) przy objętości gazety 32 stron — około 10 stron ogłoszeń z tym samym mniej więcej odsetkiem ogłoszeń drobnych. Bardzo zróżnicowany cennik ogłoszeń „Kuriera Poznańskiego” był następujący: ogłoszenia na stronie sześciolamowej kosztowały 25 groszy, na stronie czterołamowej przy końcu tekstu redakcyjnego 60 groszy, na stronie czwartej lub piątej 100 groszy, na stronie drugiej lub trzeciej 120 groszy, przed wiadomościami potocznymi 200 groszy od jednołamowego milimetra. Ogłoszenia skomplikowane oraz z zastrzeżeniem miejsca — 20% zwyczajki. Ogłoszenia drobne: najwyżej 100 słów, w tym 5 słów nagłówekowych, słowo nagłówek (wytluszczone) 25 groszy, każde dalsze słowo 15 groszy.

Hasło „frontem do klienta” obowiązywało w dziale ogłoszeń Drukarni Polskiej na serio. Dowodem tego jest choćby fakt, że ogłoszenia drobne przyjmowano do wydania głównego „Kuriera Poznańskiego” do godz. 11¹⁰, a w dni przedświąteczne do godz. 10¹⁵. Jeśli zważyć, że maszyna rotacyjna ruszała z wydaniem głównym „Kuriera Poznańskiego” (co do minuty) o godz. 13³⁵, to trzeba przyznać, że dbało się rzeczywiście i o interesy wydawnictwa, i o interes klienta. Spóźnione ogłoszenia (nie tylko nekrologi) do wydania porannego mógł przyjmować w porze nocnej nawet... stróż.

Nakłady pism wydawanych przez Drukarnię Polską, dzięki systematycznemu wzrostowi stanowiące niewątpliwie poważne źródło powodzeń finansowych wydawnictwa w latach 1933—1939, ustabilizowały się w roku 1937 w odniesieniu do wszystkich pism z wyjątkiem „Wielkopolanina” i „Pomorzanina”. Nakłady tych dwóch pism wzrastały nieprzerwanie aż do chwili wybuchu wojny. Dowodzą tego m. in. liczby dotyczące opłat pocztowych uiszczanych przez Drukarnię Polską za pocztowe usługi prasowe w latach 1937 i 1938. W 1937 r. wynosiły one 197 783 złote, zaś w r. 1938 — 318 175 złotych. Wzrost wyniósł zatem 120 392 złote. Dotyczył on prawie wyłącznie wzrostu nakładu „Wielkopolanina” i „Pomorzanina” w prenumeracie pocztowej. Prenumerata każdego z tych pism kosztowała miesięcznie 1 złoty. Z tej kwoty poczta otrzymywała za całość swoich usług łącznie z doręczeniem gazety do prenumeratora po 21 groszy miesięcznie, a więc w skali roku 2,52 zł. Liczba 120 392 złote wzrostu opłat

pocztowych na 1938 r. w porównaniu z 1937 r. oznacza praktycznie nic innego, jak wzrost stanu prenumeraty „Wielkopolanina” i „Pomorzanina” na rok 1938 o około 44 000 egz.

W końcowych dniach sierpnia pamiętnego roku 1939 byłem zajęty przygotowaniem swego oddziału do czekającej nas walki i kopaniem rowów przeciwczołgowych na dalekich przedmieściach Poznania. Nie oznaczało to jednak całkowitego zerwania kontaktu z moim warsztatem pracy. Do ostatniej chwili pisałem jeszcze artykuły demaskujące kłamstwa hitlerowskiej propagandy w sprawie rzekomych mordów dokonywanych w Polsce na obywatelach polskich narodowości niemieckiej. Na pierwszej stronie jednego z sierpniowych numerów „Kuriera Poznańskiego” zamieściłem w odpowiedzi na kolejne kłamstwa „Völkischer Beobachter” artykuł o szczególnie „niehumanicznym” przypadku „morderstwa” dokonanego rzekomo w Chorzowie. Do artykułu dołączyłem fotografię rzekomo „wymordowanej” trzyosobowej rodziny uśmiechającej się do wydelegowanego przeze mnie do Chorzowa fotoreportera. Do ostatniej chwili interesował mnie też los „Wielkopolanina”, pisma Drukarni Polskiej, któremu poświęciłem niemało sił, inicjatywy i entuzjazmu. Dnia 2 września 1939 r. zajrzałem po raz ostatni do wydawnictwa i do dziennego wyciągu z konta PKO „Wielkopolanina”. Stan prenumeraty na wrzesień 1939 r. „Wielkopolanina” i „Pomorzanina” wynosił, pamiętam, prawie 215 000 egzemplarzy zamówionych i zapłaconych z góry w prenumeracie. Czytelnicy nie otrzymali we wrześniu 1939 r. swojej gazety, a zatem Drukarnia Polska wraz z Poczta Polską są im do dziś dłużni kwotą około 215 000 złotych. Drukarnia Polska nie istnieje. Z gmachów przy narożniku Św. Marcina i al. Marcinkowskiego pozostała z zawieruchy wojennej tylko niewielka część oficyny.

*

* *

W pierwszym numerze „Wielkopolanina” z datą 3 maja 1930 r. nawiązano w artykule redakcyjnym do wychodzącego w połowie XIX i w pierwszych latach XX wieku w Poznaniu pisma pod tym samym tytułem, redagowanego kolejno przez ks. Prusinowskiego, Józefa Chociszewskiego i wreszcie przez Franciszka Chociszewskiego. Nawiązano również do bogatej tradycji „Gazety Świątecznej”. Autorem artykułu i redaktorem naczelnym nowego „Wielkopolanina” był Stanisław Prószyński, wnuk znakomitego dziennikarza i działacza oświatowego na przełomie XIX i XX wieku, Konrada Prószyńskiego-Promyka, założyciela i „pisarza” (tak podpisywał się Promyk pod swymi artykułami) „Gazety Świątecznej”. Kiedy po wojnie przystępowałem do organizowania nowego masowego pisma dla wsi, „Rolnika Polskiego”, dałem w pierwszych numerach tego

pisma ogłoszenie, że chętnie kupię pojedyncze numery lub całe komplety „Gazety Świątecznej”. I oto w 1947 r. (bo w tym roku zaczął ukazywać się „Rolnik Polski”) otrzymałem tyle, przeważnie zresztą bezinteresownie nadsyłanych numerów i kompletów oprawnych „Gazety Świątecznej”, że zdołałem zebrać bez trudu całość „Gazety Świątecznej” od jej pierwszego numeru z 1881 r. do ostatniego z 1939 r. Później przekazałem ten bezcenny zbiór przechowywany z pieczołowitością przez całe pokolenia wiernych czytelników Bibliotece Narodowej.

Dzisiejszym i przysłym adeptom rzemiosła dziennikarskiego polecam gorąco jak najczęstsze zagładanie do Promykowej „Gazety Świątecznej”, bowiem można z niej nauczyć się i dobrego języka polskiego, i niezrównanej umiejętności przemawiania do czytelnika na wsi.

Wnuk Promyka, Stanisław Prószyński, wniósł do redakcji „Wielkopolanina” nie tylko wzory redagowania pisma dla wsi, ale także swój własny, po dziadku odziedziczony talent i temperament dziennikarski. W praktyce swojej nie spotkałem nigdy dziennikarza zawodowi swemu tak bez reszty oddanego. Towarzyszyłem jego pracy dziennikarskiej, pełnej wzlotów i upadków, od 1930 r. nieprzerwanie do 1970 r. kiedy to zmarł przy biurku, pisząc artykuł do miesięcznika „Poznaj Świat”.

Niestety, Stanisław Prószyński rozszedł się już po dwóch latach z „Wielkopolaninem”, nie mogąc pogodzić się z polityką wydawniczą Edwarda Pawłowskiego, jednego z dwóch członków zarządu Drukarni Polskiej. Wrócił jednak do „Wielkopolanina”, skoro tylko z Drukarni Polskiej odszedł Pawłowski, i pozostawał na stanowisku naczelnego redaktora do chwili wybuchu wojny. Po wojnie spotkaliśmy się znowu nie przy tym samym, ale podobnym warsztacie, lecz o tym później.

Od chwili, kiedy redakcję „Wielkopolanina” po Prószyńskim objął przejściowo Edmund Bernacki, nakład tego pisma nie przekraczał około 25 000 egz., rozprowadzanych prawie wyłącznie na terenie woj. poznańskiego. W tym czasie właśnie dr Marian Seyda zlecił mi „opiekę” nad „Wielkopolaninem”, to znaczy — praktycznie — nadzorowanie w jego imieniu pracy redakcji oraz administracji. Postawiliśmy sobie za zadanie możliwie szybkie zwiększenie nakładu „Wielkopolanina” przez ożywienie treści gazety i lepsze dostosowanie jej do praktycznych potrzeb czytelnika-rolnika oraz przez wyjście z nakładem poza opłotki wielkopolskie, nie zmieniając przy tym regionalnego charakteru gazety. Położono przede wszystkim duży nacisk na przystępne, ale zarazem naukowo podbudowane upowszechnienie wszechstronnej wiedzy rolniczej. Prawie 60% miejsca zajmowały w każdym numerze działy następujące: „Rady i nauki rolnicze”, „Sad i ogród”, „Nasza pasieka”, „W naszym warsztacie”, „Poradnik hodowlany i weterynaryjny”.

Trzymano się przy tym konsekwentnie zasady niezwiększania liczby

stałych etatów redakcyjnych, która notabene nigdy nie przekraczała dzieśięciu, lecz wciągania do współpracy najlepszych fachowców z całego kraju. Pozyskano m. in. jednego z najlepszych popularyzatorów wiedzy rolniczej, byłego współpracownika „Gazety Świątecznej”, inż. Wojciecha Chmieleckiego z Warszawy oraz znakomitego popularyzatora wiedzy w zakresie hodowli i praktycznej weterynarii, dra Zygmunta Olszańskiego z Włocławka. Ważniejsze zagadnienia wiedzy rolniczej ujmowano w całość i drukowano w arkuszach do oprawy. Czytelnicy skrzętnie zbierali i opawali je, gromadząc sobie w ten sposób z czasem wcale pokaźną biblioteczkę fachowo-rolniczą.

Dużą poczytnością cieszyły się działy dla kobiet: „Praktyczna gospośia” i „W królestwie kobiety” oraz działy „Poradnik prawny” i „Lekarz domowy”. Młodzież wiejska ochoczo śpiewała piosenki drukowane na łamach „Wielkopolanina” w postaci nut i tekstów i chętnie czytała dział sportowy oraz popularnonaukowy („Młody fizyk”, „Młody chemik”, itd.). Sprawy kulturalne objęto działem „Piękno i wiedza” oraz bardzo popularnym, głównie wśród starszego pokolenia, działem „Z naszych dziejów ojczystych”. Trzeba tu stwierdzić, że historia i medycyna należały do dziedzin, które zawsze budziły wśród czytelników wiejskich największe zainteresowanie.

Pierwsza i druga strona gazety były z reguły poświęcone informacjom z zagranicy i z kraju. Na stronie drugiej drukowano artykuł wstępny. Przez wiele lat zabierał tu głos Karol Wierczak, poseł na Sejm z ramienia Stronnictwa Narodowego. Bardzo często zamieszczano tu także wypowiedzi czytelników dotyczące zagadnień ogólnych. Na tzw. stronach kliszowych (pierwsza, trzecia itd.) drukowano klisze siatkowe z fotosów ilustrujących bieżące wydarzenia zagraniczne i krajowe. Wertując przed pisaniem tych wspomnień nieliczne, zachowane w bibliotekach roczniki „Wielkopolanina”, stwierdzałem z przyjemnością i z przykrością zarazem, że fotosy drukowane z klisz siatkowych 30—40 lat temu są do dziś znakomicie wyraźne i czytelne w odróżnieniu od tych, które drukuje się obecnie w naszych dziennikach.

Drobną kronikę wydarzeń krajowych i regionalnych odnotowywano w dziale „Nowiny i nowinki krajowe”. W miarę jak „Wielkopolanin” zyskiwał coraz więcej czytelników poza woj. poznańskim, stanął przed nami problem rozszerzenia tego działu i objęcia nim coraz dalszych terenów. W rezultacie zdecydowano się na trzy mutacje, mianowicie na mutację „P”, obejmującą na jednej kolumnie wewnętrznej kronikę woj. poznańskiego, mutację „K”, obejmującą na tej samej stronie drobne wiadomości z kraju, oraz na mutację „Pomorzanin”, w której zmieniono na pierwszej stronie tylko tytuł gazety, a na jednej kolumnie wewnętrznej zamieszczano kronikę z Pomorza.

Problem mutacji, a w szczególności utworzenia mutacji „Pomorzanin”, zaostrzył się z przyczyn konkurencyjnych. Otóż gdzieś w 1934 r. wyrosło w stolicy Pałuk w Żninie wydawnictwo prasowe o wielkich ambicjach. Właścicielem wydawnictwa był Alfred Ksycki, syn wydawcy wychodzącego kiedyś w Żninie, a także w wielu innych powiatowych miastach Wielkopolski, „Orędownika Powiatowego”. Ksycki junior zaczął od wydawania 3 razy w tygodniu pisma redagowanego z ręcznie pod gusty i zainteresowania czytelnika z małych miast, miasteczek i wsi. Pismu dano tytuł „Ilustrowany Kurier Pałucki”, przy czym wydawca i redakcja świadomie i często posługiwała się na wzór krakowskiego IKC, skrótem „IKP”. W odpowiedzi na to „Wielkopolanin” zaczął regularnie raz na tydzień drukować felieton pt. *Gawęda Józefa z Pałuk* i rozszerzył znacznie kronikę z pow. żnińskiego i z powiatów okolicznych. Zaczęto także w samym Żninie, a więc tuż u boku „groźnego” konkurenta, organizować coś w rodzaju dorocznych masowych imprez sportowych o nagrody „Wielkopolanina”, m. in. tzw. „Bieg Biskupiński” (Biskupin ze swymi słynnymi wykopaliskami prasłowiańskiego osadnictwa leży, jak wiadomo, tuż pod Żninem). Ambitny i niezwykle ruchliwy młody wydawca żniński bynajmniej nie zraził się naszą kontrofensywą i zaczął z kolei wydawać nowego „IKP”, mianowicie „Ilustrowany Kurier Pomorski”. „Wielkopolanin” odpowiedział na to swoim „Pomorzaninem”, a Drukarnia Polska S. A. finansowym wzmocnieniem toruńskiego „Słowa Pomorskiego”. Okazało się wnet, że na Pomorzu zdołały zmieścić się i egzystować obok siebie zarówno „Słowo Pomorskie” oraz „IKP”, jak i nasz „Pomorzanin”, który osiągnął wcale pokaźny nakład około 30 000 egz.

Tymczasem niezmordowany w pomysłach młody żniński wydawca poszedł niebawem duży krok dalej i zaczął wydawać trzecią wersję swego „IKP”, mianowicie „Ilustrowany Kurier Powszechny”, z którym przy pomocy szeroko zakrojonej akcji reklamowej ruszył na podbój miasteczek i wsi w woj. łódzkim, warszawskim itd. W rezultacie łączny nakład trzech wersji „IKP” osiągnął przed wojną około 110 000 egz. Główną bronią w walce o czytelnika były dla „IKP”: cała kolumna sensacyjnej powieści w każdym numerze oraz obfita kronika lokalna.

Ksycki nie poprzestał na swoim „IKP”. Gdzieś na dwa lata przed wojną zaczął wydawać masowe popularne pismo dla kobiet — tygodnik „Moja Przyjaciółka”. W zdumiewająco krótkim czasie tygodnik ten osiągnął nakład około 100 000 egz., rozprowadzanych głównie w prenumeracie, a nie w sprzedaży komisowej. Wystarczy przeczytać pierwszy lepszy numer dzisiejszej „Przyjaciółki”, aby mieć wyobrażenie o tym, czym wydawca żniński pozyskał dla „Mojej Przyjaciółki” tak znaczny, jak na przedwojenne stosunki w tej dziedzinie, nakład wśród kobiet w całym kraju, a pozyskałby niewątpliwie jeszcze większy, gdyby wojna nie

przerwała pasma tych dziwnych wydawniczych sukcesów. Mówię „dziwnych” nie dlatego, że tu i ówdzie zaczęto szeptać sobie dziwne rzeczy o tym, kto i z jakich przyczyn politycznych finansuje żnińskie wydawnictwo. Wydaje mi się, że pogłoski nie były uzasadnione, a cała sprawa mogła wydawać się dziwną tylko z uwagi na niezwykłość zjawiska prasowo-wydawniczego, polegającą na tym, że na peryferiach życia kulturalnego powstało i rozrosło się w tempie wręcz błyskawicznym wydawnictwo zorganizowane z rozmachem i mające szanse zdobycia szerokiego rynku czytelniczego.

W 1947 r. jako jeden z dyrektorów w Instytucie Prasy „Czytelnika” brałem udział w naradzie fachowców, na której pod przewodnictwem prezesa „Czytelnika” Jerzego Borejszy zastanawiano się nad charakterem, treścią i tytułem planowanego masowego tygodnika dla kobiet. W toku dyskusji wyjąłem z teczki kilka numerów przedwojennej żnińskiej „Mojej Przyjaciółki”, co ku memu zdumieniu bardzo uprościło i skróciło dalszą dyskusję. Z tytułu żnińskiego tygodnika postanowiono skreślić zaimek dzierżawczy, a z treści trzeba było skreślać bardzo niewiele. Zdumiewające było i to, że w tym gronie warszawskich fachowców bodaj w ogóle nie wiedziano o tym, co działo się w małym Żninie w ostatnich latach przedwojennych.

Po tej pozytywnej, jak mi się wydaje, dla prasoznawstwa naszego dygresji wracam do dziejów „Wielkopolanina” i do naszych akcji zmierzających do szybkiego i znacznego zwiększenia nakładu tego pisma oraz objęcia jego zasięgiem całego kraju. Liczba około 100 000 egzemplarzy, rozprowadzonych gdzieś w początku 1937 r., już nam nie wystarczała, choć była niewątpliwie osiągnięciem znacznym. Rozpoczęliśmy walkę o drugie sto tysięcy. Głównym orężem tej walki okazała się powieść, ale nie zaniedbywaliśmy także innych sposobów pozyskania i utrzymania przy gazecie coraz to nowych czytelników i regionów kraju.

Wskazać warto tutaj na niektóre ciekawe akcje. Należała do nich m. in. kampania przeprowadzana pod hasłem: „Tanie drzewka owocowe dla wiernych czytelników »Wielkopolanina«”. Zawarliśmy z producentami-ogrodnikami umowę, na podstawie której wydawnictwo zobowiązało się do propagowania zakupu drzewek owocowych przez prenumeratorów gazety, zaś dostawcy do dostarczania doborowych, komisyjnie przyjmowanych, drzewek owocowych loco stacje kolejowe wskazane w zamówieniu przez czytelników, i to bez doliczania kosztów przesyłek. Gazeta wzięła na siebie duży i pracochłonny obowiązek zebrania zamówień, ich segregacji według podanych stacji kolejowych, ogłaszania na swoich łamach mnóstwa praktycznych informacji oraz dopilnowania jakości dostarczanego towaru. Cała akcja mogłaby spalić na panewce, gdyby jej nie wykonano z właściwą poznaniakom skrupulatnością. Rezultaty były

też pod każdym względem znakomite: około 150 000 drzewek owocowych doborowej jakości wzbogaciło nasze niebogate sady wiejskie.

Ciekawy był pomysł bezpłatnego ubezpieczenia prenumeratorów „Wielkopolanina” (i „Pomorzana” oczywiście), zrealizowany na podstawie odpowiedniej umowy z Poznańsko-Warszawskim Towarzystwem Ubezpieczeń. Towarzystwo to zobowiązało się do „wypłacenia każdemu, kto jest abonentem »Wielkopolanina« przez przynajmniej dwa miesiące bez przerwy i nie skończył 70 lat, odszkodowania w wysokości 1000 zł w razie śmierci lub zupełnego kalectwa” (cytuję za „Wielkopolaninem”). Zamieszczane na łamach gazety informacje w tej sprawie traktowało Towarzystwo jako swego rodzaju reklamę i koszty związane z wykonaniem umowy zaliczało na koszt reklamy. Szybko jednak reklama ta okazała się zbyt kosztowna i nie wytrzymująca kalkulacji handlowej. Już w trzy miesiące po zawarciu umowy Poznańsko-Warszawskie Towarzystwo Ubezpieczeń, wypłaciwszy pokaźną kwotę odszkodowań, zmniejszyło stawkę ubezpieczeniową o 50%. „Wielkopolanin” ogłosił: „Na skutek zbyt licznych wypadków śmiertelnych i inwalidztwa naszych abonentów Poznańsko-Warszawskie Towarzystwo Ubezpieczeń wypłacać będzie: a) w razie śmierci lub całkowitego inwalidztwa na skutek nieszczęśliwego wypadku odszkodowanie w wysokości 500 złotych, b) w razie częściowego inwalidztwa na skutek nieszczęśliwego wypadku odpowiedni procent od 500 złotych”. I ta forma dobrowolnego ubezpieczenia abonentów obowiązywała już bez przerwy i bez zmian do wybuchu wojny, choć wypadki śmierci i inwalidztwa były niewątpliwie w dalszym ciągu liczne. Niestety nie dysponuję danymi dotyczącymi sumy wypłaconych odszkodowań.

Niezależnie od tego wydawnictwo wprowadziło tzw. „dobrowolną zapomogę dla wiernych abonentów” w kwocie 50 złotych. Każdy, kto nadesłał dowód śmierci abonenta oraz kwit prenumeraty za przynajmniej 3 miesiące, otrzymywał dla rodziny zmarłego z kasy wydawnictwa kwotę 50 złotych. Od 1937 r. ukazują się na łamach gazety całe szpalty redakcyjnych, czyli niepłatnych nekrologów, kończących się dyskretną, *petitem* drukowaną informacją, że wydawnictwo przekazuje rodzinom zmarłych po 50 złotych.

W miesiącach wzmózonych prac w rolnictwie, mniej więcej od kwietnia do września, nakłady „Wielkopolanina” i „Pomorzana” z reguły spadały o około 20%. Na przełomie roku kalendarzowego można było liczyć znowu na komplet prenumeratorów, i to zawsze z jakąś nadwyżką. Magnesem przyciągającym na zimę starych i nowych czytelników był niewątpliwie doroczny kalendarz książkowy, dodawany jako bezpłatny dodatek do gazety w początku stycznia. Kalendarz ukazywał się w formacie 18×25 cm i w objętości od 112 do 136 stron. Teksty były ilustrowane około 150 fotografiami i rysunkami. Prenumeratory cenili sobie

bardzo także inny bezpłatny dodatek — wielobarwny, na dobrym papierze drukowany obraz do oprawy. Było wielu takich czytelników, którzy te na ogół wartościowe reprodukcje polskiego i obcego malarstwa klasycznego oprawiali, ozdabiając nimi ściany swoich mieszkań.

Wszystkie te i inne akcje nasze dawały niewątpliwie znaczne efekty, ale praktyka wykazała, że czynnikiem decydującym, jeśli chodzi o rozszerzenie czytelnictwa na wsi i ustabilizowanie nakładów także w miesiącach letnich, była powieść. Drukowaliśmy powieści początkowo w odcinkach na mniej więcej jednej trzeciej kolumny. Zaczęły wtedy nadchodzić do redakcji listy domagające się drukowania na odwrotnej stronie odcinka takich materiałów, które by dla bardzo licznych, jak się okazało, zbieraczy tych odcinków stanowiły jakąś trwalszą wartość. Czyniąc zażość tym postulatam, drukowaliśmy na odwrocie odcinka piosenki z nutami i tekstem, wartościowe poezje, kącik humoru itp. Od czytelników wyszła wtedy inicjatywa dalszych zmian w sposobie druku powieści. W rezultacie skończyliśmy drukowanie powieści w odcinkach w każdym numerze i przeszliśmy na druk raz na tydzień bezpłatnego dodatku powieściowego w formie arkusza do oprawy.

Na początku 1937 r. poszliśmy jeszcze o krok dalej i przestaliśmy drukować powieść w arkuszach, a rozpoczęliśmy dodawanie raz na kwartał oprawnej książki z powieścią objętości 96—112 stron. W praktyce powieści tak drukowane dzielono na 2—3 „tomy”, sukcesywnie co kwartał dołączane jako bezpłatny dodatek do gazety. Dobór powieści narzucali przeważnie sami czytelnicy, bezustannie wołający o tematykę historyczną. Do autorów szczególnie ulubionych wśród czytelników „Wielkopolanina” należał Stanisław Kluczek, rolnik spod Siedlec, który debiutował jeszcze na łamach „Gazety Świątecznej”. Ten zamiłowany kawalerzysta każdą wolną od prac na roli i w sadzie chwilę poświęcał na szperanie w archiwach, z których czerpał wątki i materiały do swoich powieści historycznych. Jego Kmicice i Wołodyjowscy lepiej władali szablą niż on piórem, co jednak nie przeszkodziło w tym, by powieści Kluczka (*Szkarłatne pola*, *Pamiętnik Downara*, *Wśród mordów i pożogi* i inne) czytane były przez czytelników „Wielkopolanina” z największym zainteresowaniem.

Przeżyłem nielada wzruszenie w czasie wojny w oficerskim obozie jeńców w Lubece, w którym obok oficerów polskich, francuskich, belgijskich i jugosłowiańskich przebywało przez jakiś czas także kilkudziesięciu szeregowych i podoficerów polskich. Jeden z nich zabrał ze sobą na wojnę i do niewoli wydane przez „Wielkopolanina” w 1939 r. trzy tomiki powieści historycznej Artura Gruszeckiego *Za króla Stefana*. Nasi żołnierze czytali ją wieczorami na głos, a pewnego dnia ów żołnierz chciał i mnie zachęcić do przeczytania tej „bardzo ciekawej po-

wieści”. Powiedziałem mu, że ją dobrze znam, bowiem powieść sam da-
wałem do druku.

Wiosną 1938 r. miałem pojechać do Wilna w jakichś sprawach wy-
dawniczych. Pociąg Poznań—Wilno odchodził o północy. Zamiast czekać
w domu, wybrałem się z żoną do jednego z podrzędnych kin na film „Zna-
chor” według powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. Potem udałem się
na dworzec i tu w kiosku kupiłem powieść *Znachor*. Zdażyłem ją prze-
czytać przed dojazdem do Warszawy i stwierdziłem, że treść filmu
absolutnie w niczym nie odbiega od treści książki. Postanowiłem prze-
rwać podróż, wysiąść w Warszawie i porozumieć się z jej autorem. Za-
dzwoniłem do Dołęgi-Mostowicza i zapytałem go, czy może mnie przyjąć
w pilnej sprawie wydawniczej. Otrzymałem odpowiedź twierdzącą i uda-
łem się do mieszkania autora (zdaje się przy ul. Piusa — obecnie Pięk-
nej — narożnik Al. Ujazdowskich). Oświadczyłem mu, że pragnę nabyć
prawo przedruku *Znachora* na łamach „Wielkopolanina”. Dołęga-Mosto-
wicz był zdumiony i odradzał mi druku powieści, gdyż ukazała się już
ona w kilku znacznych nakładach, była przedtem drukowana w odcin-
kach w jednym z wielkonakładowych dzienników stołecznych i została
także sfilmowana. Wyjaśniłem memu rozmówcy, że chodzi o gazetę
wiejską, że na wsi ani film, ani powieść z pewnością nie są szerzej znane.
Stanęło w końcu na tym, że Dołęga-Mostowicz wyraził zgodę na prze-
druk za kwotę — o ile pamiętam — 2000 złotych. Przekonał go argu-
ment, że chodzi mi nie tylko o druk powieści, ale także ... filmu, a kon-
kretne fotosów z filmu. Powiedziałem, że gotów jestem dlatego nabyć
także prawo druku fotosów. W tym momencie Dołęga-Mostowicz pod-
niósł słuchawkę telefonu i powiedział swemu rozmówcy: „Słuchaj, jest
tu u mnie wydawca z Poznania, który chce zrobić wspaniałą reklamę
naszemu »Znachorowi«. Czy byłbyś gotów dać mu jeszcze dziś komplet
fotosów i zapłacić 500 złotych za tę reklamę filmu?” Odpowiedź była
pozytywna. W godzinę później byłem w posiadaniu kompletu fotosów oraz
kwoty 500 złotych. Dołęga-Mostowicz okazał się lepszym kupcem ode
mnie.

W drodze powrotnej z Wilna do Poznania opracowałem sobie nastę-
pujący szczegółowy plan akcji: w końcu drugiego kwartału 1938 r. a za-
tem tuż przed normalnie obserwowanym co roku sezonowym spadkiem
nakładu, wydrukujemy na maszynie rotacyjnej 500 000 egz. ulotki dwu-
stronicowej w formacie gazety (tzw. format berliński) z najciekawszymi
fragmentami powieści *Znachor*, ilustrując je fotosami z filmu. W ulotce
zapowiemy, że czytelnicy otrzymają tę „sensacyjną powieść-film” jako
bezpłatny dodatek książkowy w trzecim kwartale 1938 r. Cały nakład
ulotki rozesłemy jako druk bezadresowy do rolników, którzy jeszcze nie
abonują u listonosza „Wielkopolanina”. Dla urzędów pocztowych dołą-

czyśmy odpowiednie okólne pismo towarzyszące z prośbą, by ulotkę rozprowadzono sumiennie między takich mieszkańców wsi, którzy jeszcze nie abonują „Wielkopolanina”. Do tego planu opracowałem oczywiście kosztorys całej akcji, bo wiedziałem, że decydujący o prawach finansowych wydawnictwa dyr. Leitgeber przerwie mi z punktu mój „wykład” pytaniem: A ile to, panie redaktorze, kosztuje?

Dyr. Leitgeber irytował nas wszystkich, nie wyłączając dra Seydy, swoją przysłowiową powolnością przy podejmowaniu decyzji zwłaszcza takich, które naruszały finanse wydawnictwa i kryły w sobie jakieś ryzyko. Trzeba jednak stwierdzić, że gospodarzem był rozumnym i sprawiedliwym, a jak trzeba było — także odważnym przy podejmowaniu nawet ryzykownych decyzji. Musiałem i tym razem wysłuchać cierpliwie zarzutu, że „wprowadzam do wydawnictwa ciągły niepokój”, ale przedstawiona mu przeze mnie wizja pozyskania drugich stu tysięcy prenumeratorów dla bardzo rentownej gazety zrobiła swoje. Otrzymałem zgodę na przeprowadzenie całej kampanii. W maju 1938 r. poszło w kraj według szczegółowo opracowanego rozdzielnika 500 000 ulotki, a w ślad za tym cały zespół redakcyjny i ja sam rozjechaliliśmy się w różne strony, aby śledzić, jak poczta wykonuje swoje zadanie. Wróciliśmy z wrażeniami jak najlepszymi, również z takich terenów, gdzie poczta na wsi w zakresie prenumeraty czasopism jeszcze nie najlepiej pracowała. Rezultaty całej kampanii przeszły wszelkie nasze oczekiwania: nasz nakład „Wielkopolanina”, normalnie na trzeci kwartał każdego roku spadający o około 20%, tym razem nie tylko się nie zmniejszył, ale poważnie, bo o około 25% wzrósł.

Zgodnie z obietnicą czytelnicy otrzymali na początku września 1938 r. pierwszy tomik powieści *Znachor* ilustrowany obficie fotosami z filmu oraz zapowiedź, że następny tomik otrzymają w czwartym kwartale. Zapowiedzieliśmy równocześnie, że nowi prenumeratorzy, którzy pierwszego tomu nie otrzymali, a zapłacą prenumeratę na cały czwarty kwartał z góry i nadesłają pokwitowanie pocztowe do redakcji, otrzymają nie tylko tom drugi, lecz także „zaległy” tom pierwszy. W tym celu zachowaliśmy oczywiście matryce dla ewentualnego dodruku. Okazało się, że na czwarty kwartał pozyskaliśmy dalszych około 15 000 nowych prenumeratorów.

W styczniu 1939 r. dokonaliśmy szczegółowej analizy rozmieszczenia całego nakładu „Wielkopolanina” i „Pomorzanina”, wynoszącego około 205 000 egzemplarzy. Okazało się, że na ogólną liczbę 264 powiatów w Polsce „Wielkopolanin” („Pomorzanin”) miał prenumeratorów w 259 powiatach. Na mapie Polski zakreśliliśmy kolorem białym 3 powiaty w woj. lwowskim oraz 2 w woj. wileńskim. Na podstawie tej analizy zapadła decyzja przeprowadzenia jesienią 1939 r. dodatkowej kampanii dla

podwyższenia nakładu do 300 000 egz. Wojna nie pozwoliła na realizację tych ambitnych zamierzeń.

Koszt własny wydania „Wielkopolanina” i „Pomorzana” przy nakładzie 200 000 egz. wynosił łącznie z opłatami pocztowymi 69 groszy od 1 egzemplarza. Czysty zysk wynosił w skali rocznej około 740 000 złotych. Nie ulega wątpliwości, że dochody te stanowiły jedno z głównych źródeł sukcesów gospodarczych Drukarni Polskiej S. A. Snuliśmy już na ich podstawie różne piękne projekty na przyszłość, w tym m. in. plan wybudowania tanich domków jednorodzinnych dla pracowników technicznych wydawnictwa, którzy pracowali z niezwykłą ofiarnością, ciesząc się na równi z nami każdym osiągniętym sukcesem.

Nie sposób tu pominąć roli poczty w realizacji naszych kampanii prasowo-wydawniczych na wsi. Jak wiadomo, kiosków z prasą na wsi przedwojennej w ogóle nie było, wobec czego jedyną instytucją, która mogła zająć się masowym kolportażem prasy na wsi była poczta, a konkretnie urzędy i agencje pocztowe obsługujące wieś. W Polsce przedwojennej sieć placówek pocztowych nie była zbyt gęsta, zaś placówek z systematycznym doręczaniem poczty na wieś była znikoma ilość. Pod tym względem różniły się zasadniczo placówki pocztowe na terenie byłego zaboru pruskiego, mające długoletnią tradycję w tej mierze, od placówek w innych regionach kraju, gdzie też praktycznie prawie nie znano i nie stosowano tzw. prenumeraty zleconej, a nieliczne czasopisma doręczano tylko „pod opaską” z indywidualnym adresem odbiorcy. Przypomnijmy, na czym polegała (i polega z drobnymi zmianami do dziś) ta tzw. prenumerata zlecona. Otóż listonosz przyjmował między 15 a 25 każdego miesiąca wpłaty i zamówienia na czasopisma; placówki pocztowe prowadziły we własnym zakresie rejestr tych wpłat, a wydawca otrzymywał do końca miesiąca sumę wpłat i zamówień (bez nazwisk i adresów prenumeratorów) i na tej podstawie wysyłał do placówek pocztowych (a nie do prenumeratorów) łączne przesyłki gazetowe. Liczba kont, a tym samym liczba przesyłek, ograniczała się u wydawcy do liczby zamawiających placówek pocztowych.

Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że masowe upowszechnianie czytelnictwa prasy na wsi jest ściśle zależne od tego, czy uda się tradycję tej formy prenumeraty przenieść z województw zachodnich do pozostałych województw. Kiedy zdecydowaliśmy się na wyjście z „Wielkopolaninem” szerzej poza Wielkopolskę, musieliśmy przedtem wystąpić z odpowiednią inicjatywą wobec Ministerstwa Pocht i Telegrafów. Oznaczało to praktycznie przekonanie tego resortu do zwiększenia liczby doręczycieli wiejskich i skończenia z tym, że wiele placówek pocztowych ograniczało się do doręczenia poczty adresatom za pośrednictwem szkół, sołtysów itp. Trzeba było także zaopatrzyć placówki pocztowe w odpowie-

dnie druki itd. Droga do załatwienia tych spraw prowadziła przez Polski Związek Wydawców Prasowych. Moje liczne i długie rozmowy w tej sprawie z ówczesnym dyrektorem Związku, Kauzikiem, nie były łatwe, bowiem stołeczni wydawcy ani nie znali owej prenumeraty zleconej, ani też nie byli nią specjalnie zainteresowani. Do Ministerstwa Poczty i Telegrafów trafiliśmy w końcu jednym argumentem: że rozszerzenie czytelnictwa na wsi to nie tylko sprawa kultury i oświaty, ale także szansa zwiększenia dochodów poczty za różne jej usługi.

Nie dały niestety wyniku nasze wysiłki zmierzające do podniesienia mizernych plac listonoszów (około 90—120 złotych miesięcznie) i zaopatrzenia ich w rowery na koszt państwa. Dlatego też tym większą wagę przykładaliśmy do zainteresowania kierowników placówek pocztowych, a przede wszystkim listonoszów wiejskich sprawą niewdzięcznej, bo bardzo pracochłonnej prenumeraty zleconej. Zadanie to wykonywał z ramienia redakcji „Wielkopolanina” i wydawnictwa red. Franciszek Sołtysiak, który był bezustannie w drodze, by rozmawiać z kierownikami placówek pocztowych i z listonoszami, i który spełniał to zadanie znakomicie. Na łamach „Wielkopolanina” ukazywały się pisane przez red. Sołtysiaka informacje i artykuły o pracy poczty wiejskiej, o jej bolączkach i kłopotach, a także o takich czytelnikach gazety, co listonosza witają u siebie uśmiechem, nie skąpiąc mu w dni upalne chłodnego napoju, a w dni mroźne ciepła. Spora liczba listonoszów wiejskich i kierowników placówek pocztowych pisywała do „Wielkopolanina” regularnie korespondencje ze swego terenu. Nawet niewielkie kilkunastozłotowe honoraria wypłacane im przez redakcję za wydrukowane korespondencje stanowiły dodatkowy bodziec do pracy na rzecz upowszechnienia czytelnictwa na wsi. Wytworzyła się w ten sposób ścisła więź między gazetą i jej czytelnikami z jednej a pracownikami poczty z drugiej strony z pożytkiem niewątpliwym dla ludu wiejskiego.

Tworząc po wojnie (wrzesień 1947) „Rolnika Polskiego” nawiązywałem nie tylko do dobrych redakcyjnych doświadczeń przedwojennego „Wielkopolanina”, ale także do naszej dawnej, tak owocnej współpracy z pocztą i z listonoszem wiejskim.